№ 6. Warszawa, dnia 28 Stycznia (9 Lutego) 1881 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

MODLITWA.

O! były chwile, w których smutku cienie,
Co duszę, niby grobowe sklepienie
Kryły,—pękały—i przez ich szczeliny
Widziałem kilka gwiazd i odrobiny
Niebiosów. Ziemia osłoniona cała
Mgłą jasną milcząc u nóg spoczywała,
I w dyamenty rosy i w księżyca
Jasność ubrana, była ta ciemnica
Tak uroczyście piękna, że nie zgadnie
Nikt, że tam brudy i grzechy są na dnie.

O! nieraz pomnę, wśród takiej godziny,
Siedziałem wpatrzon w niebiosów głębiny,
I błądząc myślą po drogach gwieździstych
Szukałem w niebie natchnień cichych, czystych—
I dla niewinnej duszy z tęczy skrzydeł—
I ta noc jasna osnuta cichemi
Tajemnicami i nieba i ziemi,—
Świątynią mi się zdała—bez kadzideł,
Bez śpiewu księży i złotych ołtarzy,
I zachwyt świecił jak lampa na twarzy.

Po mlecznych drogach myśl, upokorzona
Wielkością Tego, którego zasłona,
Z gwiazd milionów ludziom kryje cała,
Na klęczkach, niby pątnik się czołgała,
I tonąc w bezmiar, drżąc czułem tajemnie
Boga na niebie, wkoło mnie i we mnie,
I serce drżało mi w onej godzinie,
Jak struny lutni, gdy po nich pieśń płynie:
A ta mych myśli po niebie gonitwa,
To była moja największa modlitwa.

Michał Bałucki.

GDZIE PRACA
DLA KOBIET NASZYCH?

V.

Modniarstwo.

Jakkolwiek wszechwładna moda powołuje do pracy ogromną ilość rąk kobiecych, nie idzie przecież zatem, aby i tutaj kobiety miały iść pomacku, nie pytając czy w ogóle przemysł modniarski nie ma już sił *zawiele*, czy wybór danej specyalności w tym przemyśle jest właściwym i nakoniec czy zarobek jaki ztąd się osiąga, może dać byt jakikolwiek i zabezpieczyć przyszłość. Ogólnie biorąc, warunki pracy w modniarstwie, są prawie takie same jak te, o których mówiliśmy już poprzednio w artykule: „szycie i szwaczki;“ niemniej jednak jest tu większy wybór zajęć specyalnych, z których jedne nieźle się nawet opłacają, inne zaś znów nie są jeszcze dość rozwinięte i dość umiejętnie eksploatowane.

Powiadają, że kandydatki do pracy modniarskiej, powinny mieć bezwarunkowo: okomiar, zręczność w palcach, cierpliwość i gust dobry, a mybyśmy do tych warunków dodali jedną jeszcze *własną pomysłowość*.

Nie myślę występować przeciwko tym wszystkim nielogicznościom i anomaliom, jakiemi w ogólności moda się odznacza, w tej chwili idzie mi jedynie o wzgląd zarobkowania kobiety. Sądzę jednak, że *bezwzględne* opieranie przemysłu modniarskiego (jak to u nas ma miejsce) *na naśladownictwie*, ani dla ogółu pań naszych, ani też dla pracownic nie jest korzystnem.

Mody cudzoziemskie prawie nigdy nie odznaczają się praktycznością, oszczędnem użyciem materyałów i t. p., gdy tymczasem u nas w obec trudnych warunków, zmysł praktyczności i oszczędności, acz wolno bardzo, rozwija się jednak, przybierając coraz wyraźniejsze formy. Nie przeczę bynajmniej, że zbyt wiele niestety mamy jeszcze kobiet, dla których stroje stanowią główną treść życia (!), które oszczędność, praktyczność uważają za przesąd, i które też nie pytają nigdy o cenę; obok jednakże „salonowych maryonetek,“ są pewne i coraz liczniejsze koła kobiet, które nie chcąc wyróżniać się oryginalnością, pragnęłyby przecież ubierać się taniej i praktyczniej. Otóż dla tych pań istnieje przedewszystkiem ta trudność, że praktycznych strojów i stroików znaleźć nie mogą, bo wszystko opiera się tu na *kosztownej* modzie zagranicznej; a pracownice modniarstwa, właścicielki magazynów mód i t. p., nie silą się bynajmniej na pomysły praktyczne, któreby rozsądniejszemu gustowi dogodzić mogły i podniosły zarazem dochód z własnej pracy.

Ręczyć można, że gdyby na tę poważną ilość „magazynów mód“ „magazynów strojów“ i t. p. znalazło się chociaż 10% takich, któreby nie wyłączając smaku estetycznego, produkcyę swoją oparły głównie na praktyczności i oszczędności, to wkrótce zyskałyby one wziętość większą może od tych, jakie są dziś najbardziej wzięte w sferach uganiających się za modą cudzoziemską.

Brak tedy zręcznej pomysłowości w zakresie mody, jest błędem ważnym, bo ogranicza on w znacznym stopniu pole zarobkowania i oddziaływa nader niekorzystnie na cenę pracy. Pracownice nie starające się o pomysły własne, lub też nie umiejące zdobyć się na nie, zależeć zawsze muszą od tak nazwanych „magazynów pierwszorzędnych,“ z któremi konkurencya jest trudną; właściwie zaś pracownice takie w przemyśle modniarskim, stają się maszynkami przedstawiającemi wyborny materyał do wyzyskiwania. Jeżeli zaś pracownica nie posiadająca dość samodzielności i oryginalności w pomysłach, nie ma przytem dość wyrobionego gustu, zręczności i cierpliwości, a pomimo to chwyta się modniarstwa *dla tego*, że to samo robią inne kobiety, wówczas popełnia ona błąd, który ciąży musi następnie na całej jej przyszłości. Wiecznie eksploatowana, nietylko nie jest w stanie zapracować na zaspokojenie najpierwszych potrzeb życia, lecz w dodatku praca igłą z dnia na dzień zużywa wzrok, wyczerpuje siły — i zgotowywa smutną... starość.

Ciekawą doprawdy byłaby statystyka śmiertelności modniarek wysiadujących w magazynach po kilkanaście godzin dziennie, a płatnych po największej części tak, że im to na nędzne wyżywienie starczyć nie może.

Cyfry takie poświadczyłyby zapewne najwymowniej ten fakt, że i w modniarstwie jest u nas pewne przepełnienie rąk, które w innych gałęziach pracy rękodzielniczej mogłyby być lepiej i produkcyjniej użyte. Niemniej jednak, jak wspomniałem, zależy tutaj bardzo wiele najprzód od wyboru pewnej specyalności w obszernym dziale modniarstwa, a powtóre od warunków naturalnych, jakiemi pracownica jest obdarzoną.

Kapelusze i ubranie na głowę dla pracownic zręcznych i odznaczających się dobrym gustem, dają wszędzie korzystne pole zarobkowania. U nas pomimo wielkiej liczby magazynów strojów, pracownice zręczne do kapeluszy i stroików na głowę, są poszukiwane. Czas potrzebny na naukę, przy pracy i zręczności nie wynosi zazwyczaj więcej nad 4-y do 8-u tygodni; po czem pracownica wykwalifikowana zarabiać może od 15-u do 40-u rubli miesięcznie. Obok tego po godzinie 6-ej wieczorem pracownice biorą robotę do domu i w takim razie płatne są od sztuki.

W ogólności praca igłą przy kapeluszach i strojach w porównaniu z szyciem zwyczajnem jest wdzięczniejszą o tyle, że zręczność, gust i pomysłowość dają większą szansę wziętości.

Należy też wziąść pod uwagę, że niektóre gałęzie przemysłu modniarskiego, przy których kobiety mogłyby znaleźć korzystny sposób zarobkowania, są bardzo słabo rozwinięte i zastępuje je na wielką skalę produkcya zagraniczna. Mówiąc to mamy między innemi na myśli: przygotowanie *piór do kapeluszy*, jak również produkcyą *fasonów kapeluszowych.*

Fabryk piór mamy w Warszawie dwie zaledwie nieco większe i kilka na bardzo małą skalę; gdy tymczasem we wszystkich niemal sklepach i magazynach, publiczność przepłacać musi wyrób zagraniczny. Jest to w modniarstwie naszem jedna z tych anomalij rażących, na które należałoby zwrócić bliższą uwagę. W Ameryce przemysł ten jest oddawna w wysokim stopniu rozwinięty i zatrudnia bardzo poważną liczbę kobiet. W fabrykach większych uczennice dostają od 1 do $1\frac{1}{2}$ dolara na tydzień; a w miarę nabywania wprawy płaca ta zostaje podniesioną tak, że dobrze już wykwalifikowane robotnice zarabiają od 6-u do 8-u dolarów tygodniowo. U nas jak wspomniałem, fabrykacya piór jest słabo rozwiniętą, a potrzeby stosunkowo są wielkie. Jeżeli Paryż potrzebuje rocznie piór za $3\frac{1}{2}$ milionów franków, to śmiało liczyć można, iż Warszawa sama, nie licząc prowincyi, wydaje na ten sam cel do 500 tysięcy rubli. Rozwinięta produkcya piór nietylko oszczędziłaby nam płacenia ogromnego haraczu zagranicy, ale nadto przyczyniłaby się w pewnym stopniu do rozszerzenia zacieśnionego pola pracy kobiet, garnących się dziś głównie do zarobków igielnych.

To samo mniej więcej powiedziećby można o *przygotowywaniu fasonów do kapeluszy.* W Warszawie mamy zaledwie cztery większe fabryki, w których obok wyrabiania kapeluszy filcowych i szycia słomkowych, przygotowują fasony. Produkcya odbywa się w ogólności na niewielką skalę; a płaca robotnic wynosi zaledwie *po kilka rubli miesięcznie,* przyczem niektóre otrzymują w dodatku obiad. Rozszerzenie oraz uporządkowanie pewne i tej także gałęzi przemysłu, byłoby ze wszechmiar pożądanem nietylko ze względu na potrzeby miejscowe, ale i na pewność zbytu w Cesarstwie. Nie ulega kwestyi, że założenie na wielką skalę fabryki mającej *specyalnie* na celu przygotowywanie w wielkich ilościach fasonów, mogłoby stanowić nader korzystne przedsiębierstwo i zatrudnić niemałą ilość rąk kobiecych.

W dziełku p. Wirginii Penny znaleźć można co do tej gałęzi przemysłu interesujące szczegóły. W samym New-Yorku przygotowywaniem fasonów kapeluszowych zajętych jest przeszło 1,000 kobiet. W specyalnych fabrykach fasonów pracuje nieraz od 150 do 200 robotnic płatnych od sztuki. Za wyrobienie tuzina robotnica otrzy-50 centów, zarabiając tym sposobem tygodniowo do 8-u dolarów. Dodać należy, że nauka nie trwa nigdy dłużej nad 2 tygodnie do dwóch miesięcy; a od mniejszej lub większej wprawy zależy cała niemal produkcyjność roboty.

U nas, o ile mi wiadomo, o robotnice uzdolnione jest dosyć trudno; lecz okoliczność ta tłómaczy się łatwo, najprzód słabym bardzo, jak już nadmieniłem rozwojem fabrykacyi, a powtóre nędznym bardzo zarobkiem, jaki robotnice otrzymują w fabrykach już istniejących. Wzgląd szczególniej ostatni nie może zachęcać do pracy w tym kierunku rąk zdolniejszych. (d. n.)

Jan Jeleński.

W KRAINIE ZŁOTA.

NOWELLA.

PRZEZ

LITWOSA.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz chory był bez przytomności. Sprowadzono doktora z Sacramento.

Doktór który dość już dawno porzucił medycynę dla kopania złota i który rzadko bywał trzeźwym, na tyle przynajmniej pamiętał swoją sztukę iż poznał, że stan chorego był wielce niebezpieczny.

Poznał jednak chorego pierwej jeszcze niż chorobę. Spojrzawszy na bladą, brodatą i pokrwawioną twarz wykrzyknął odrazu:

— Well! to jest Rows....

Potem schyliwszy się ku rannemu, który ledwie oddychał, mówił:

— Rows! mój przyjacielu! mówiono że niedźwiedź zabił cię przed pół rokiem, a on potarmosił cię dopiero wczoraj. Well! well! sądzę, że piersi masz trochę zgniecione... żebro złamane... obojczyk złamany... ale zresztą all right! Jeśli umrzesz, to z ujścia krwi i z wycieńczenia... a! i ręka zwichnięta. Poczęstował cię szczerze.... Ile dałeś mu pchnięć nożem? co... chłopcze!...

Rows nie wiedział o świecie bożym, dla tego nie mógł odpowiadać na pytania doktora. Ten mówił dalej:

— Eh! panno Monteray, sądzę że ten chłopak był zakochany w pani! Inaczej byłby sobie powiedział: to nie mój bussines.

Doktór zamyślił się przez chwilę:

— Zginął z miasta jakby w wodę wpadł. Nie mogliśmy dojść dla czego, bo zresztą był szczęśliwy w robocie. W dzień po przyjeździe pani znalazł pepitę przynajmniej na pięć tysięcy dolarów.... Ale teraz przypominam sobie.... Ciągle mówił o pani.... Czy on tu mieszkał?

— Nie.

— Zatem pilnował panią z lasu... poor boy! Myślę, że umrze, chyba że wyzdrowieje.... Będziecie go tu doglądać. Rękę i obojczyk nastawiłem, żebra także. Trzeba mu przemywać skaleczenia i czekać aż się kości zrosną. Good bye!

Doktór odjechał. Przy łóżku Rowsa został tylko jeden murzyn i Mary.

Mary także przypomniała sobie Rowsa i spoglądając w tej chwili na niego, zadumała się głęboko.

W Kalifornii znalazła wszystko czego pragnęła jej romantyczna dusza. Czcze życie światowe znudziło ją, tu miała pustynię, straciła wiarę w miłość i bezinteresowność ludzi—tu w postaci Rowsa leżał przed nią krwawy dowód, że istnieje i miłość i poświęcenie.

Prawda, że dwie te cnoty wcielone były w nawpół dziką postać leśnego strzelca....

Doglądanie chorego zajmowało jej teraz czas zupełnie. Drugiego dnia Rows oprzytomniał....

Otworzył oczy: spojrzał ze zdziwieniem naokoło, nakoniec wzrok jego zatrzymał się na Mary.

Resztki gorączki walczyły przez czas jakiś na jego twarzy ze świadomą myślą, potem twarz ta wyjaśniła się, a blade usta wyszeptały:

— I beg your pardon miss!...

— Jak się czujesz sir?— spytała Mary.

— Bardzo dobrze. Jestem szczęśliwy....

Po chwili zaczął mówić szybko jakby gorączkowo....

— Pani mnie nie poznaje? Jestem Rows. Nie mam szczęścia do niedźwiedzi. Pierwszego dnia chciał mnie udusić twój Baby... potem ten... ale wtedy pani mnie uratowałaś.... I pamiętam, żeś mi podała rękę. Potem nie mogłem wysiedzieć w mieście.... Mieszkam w szałasie przy Mirorlake. W lesie jest bardzo dobrze.... Ale nie chodź sama miss Mary.... Indyanie także się włóczą.... Powiedziałem sobie: będę pilnował i...

— Uratowałeś mi życie....

— Nie mów pani o tem....

Wyzdrowienie przychodziło łatwiej niż przewidywał doktór. Rows był młody i bardzo silny, a choć przez dłuższy czas nie mógł się poruszać, niebezpieczeństwo mijało szybko.... Mary całe dnie spędzała u wezgłowia rannego, bądź czytając mu biblię, bądź rozmawiając z nim.... Rows wówczas spowiadał się jej ze wszystkich myśli....

— Wolę być w lesie niż kopać, mówił... Gdy się żyje w lesie, to kopanie wydaje się i złe i głupie. Co mi z tego... kopacze piją i zabijają się, a nad lasem jest Bóg, a także złoto tam na nic.... I przepraszam panią... ale myślę że człowiek może być lepszy w lesie, bo musi więcej myśleć... a między kopaczami nie ma na nic czasu.

We wszystkiem co mówił Rows była jakaś naiwność nawpół dziecinna. Był też to chłopiec zaledwie dwudziesto-czteroletni, który prócz tego posiadał mnóstwo wrodzonej prostoty i sam to czuł, gdyż mówiąc z miss Monteray powtarzał co chwila.... „Przepraszam panią, ja jestem człowiek prosty!"..

Zdrowie jego polepszało się szybko. Wkrótce mógł już siadywać na werendzie domu, a później często towarzyszył Mary na ów mostek łączący dwa domy, na którym Mary spędzała zwykle godziny popołudniowe w towarzystwie swej małej ciemnej przyjaciółki....

Pewnego popołudnia siedziała tak właśnie ale sama, słuchając szumu kaskad i wpatrując się w amfiteatr drzew otaczających dolinę, które lubo niezbyt odległe, przesłonięte były błękitem oddalenia. Była to chwila najcudniejszej pogody i ciszy: na łące tylko pogwizdywały czerwonoramienne szpaki a w dali leśnej, kuły w drzewa dzięcioły....

Mary rozmarzyła się pod wpływem wielkiej słodyczy natury. Jakaś łagodna, ale silna tęsknota ścisnęła jej serce, w tej chwili zbliżył się do niej Rows, stawiając jeszcze z trudnością kroki....

Mary pobiegła ku niemu i posadziła go troskliwie obok siebie. Nigdy jego blada twarz nie wydała się jej wdzięczniejszą i bardziej szlachetną.

— I beg your pardon...—począł wedle zwyczaju młody strzelec—ja mam do pani wielką prośbę, miss Mary.

— Której nie odmówię z pewnością, odpowiedziała Mary....

— Oto—mówił z powagą, a zarazem nieśmia-

łością Rows, kręcąc w ręku kapelusz.... Ja... nie będzie się pani gniewać na mnie... ja nie długo wyzdrowieję....

— O tak, niedługo już, dzięki Bogu!...

— I wrócę do mego szałasu nad Miror-lake... ale mi tam będzie bardzo źle miss Mary... bo zawsze będę pamiętał, jak mi tu było dobrze....

— Będzie mnie pan odwiedzał często....

— Tak, jeśli pani pozwoli... ale jabym miał większą prośbę... niech pani nie gniewa się na mnie... oto... jabym chciał tu zostać na zawsze.

Mary spojrzała na mówiącego z dziwnym wyrazem twarzy....

— Czego pan żądasz?—spytała krótko....

— Miss Mary!—mówił Rows przyciszonym głosem—pani mnie nie potrzebuje, wiem o tem, ale i ja nie dla chleba.... Wykopałem tyle, że na Wschodzie uchodziłbym za bogatego człowieka. Tu także... ale co mi po tem. W lesie nie ma co z tem robić. Samemu ciężko.... Mnie tu byłoby najlepiej, więc... oto miss Mary ja chciałbym wejść... do służby do pani.... Pani mnie nie potrzebuje... ale,.. byłbym najszczęśliwszy i wierny... ach! bardzo wierny.....

Nastała chwila milczenia. Mary odwróciła głowę ku domowi Tallera i zamyśliła się głęboko. Nagle otrząsnęła się z zamyślenia i spojrzawszy prosto w oczy Rowsa, spytała:...

— Pan mi odpowiesz prawdę jak człowiek uczciwy i szczery?...

— Yes, miss!...

— A zatem.... Pan mnie kochasz? prawda?..

Biedny Rows pobladł jak płótno; podniósł się z siedzenia i usiadł napowrót... a zbielałe wargi jego zaledwie mogły wybełkotać....

— I beg your pardon miss!...

— Tak?

— I beg your....

— Tak?...

Górnik umilkł i dopiero na jeszcze ponowne zapytanie odpowiedział drżącym, wzruszonym głosem:...

— O miss Mary... Ja nie śmiem nawet o tem myśleć, ale tak... bardzo! jedną na świecie!... bo zresztą... jestem sam... alebym nigdy nie powiedział, nigdy, nigdy.... Skoro jednakże wiesz to, odejdę. Niech Bóg błogosławi twojej twarzy.... Good bye miss Mary!...

(d. n.)

Z TYGODNIA.

— Pocieszającą wieścią dzielimy się z czytelnikami: otóż coraz więcej powstaje w kraju gospód chrześciańskich, głównie staraniem szanownych proboszczów. Jaki wpływ moralny wywierać może na lud zacnie myślący kapłan, mamy dowód w mieszkańcach osady Stanisławów w powiecie Nowo-Mińskim. Dłuższy pobyt kilkonastoletni w tamtych stronach, dał nam poznać złe nałogi, brak zasad moralnych i gruntownej pobożności w parafianach. Praca około poprawy zaślepionych, podjęta przez ks. Kuderkę, cuda zdziałała. Widzimy dom Boży odnowiony, organy nowe kosztem parafian sprawione, bractwa i t. p. stowarzyszenia, chwałę Bożą mające na celu, zaprowadzone, a co najważniejsza, iż lud dawniej oddany pijaństwu, zły ten nałóg zupełnie porzucił,—z 17 szynków w Stanisławowie, w przeciągu lat kilku pozostało tylko dwa, a i tych byt już nie długi, bo zacny kapłan wprowadził w życie Gospodę Chrześcijańską, gdzie ludek po nabożeństwie zabawić się może, uraczyć do woli kawą, herbatą i duchowym pokarmem posilić; bowiem ks. proboszcz pism kilka zaprenumerował, książki z wydawnictw ludowych skupuje, aby lud, który serdecznie ukochał, postępował na drodze oświaty. Choć może szczegóły te do pisma naszego nie są stosowne, jednak podajemy je w tem przekonaniu, iż na włościan dotąd w błędach i w ciemności pozostałych, nawet przymusowa nauka tyle wpływu niema, co dwór i wzniośle pojmujący swe obowiązki kapłan.

Ztamtąd przykłady iść powinny, serdeczne stosunki łatwo nanizać się dadzą, gdyż chłopi tradycyjnie do dworu i kościoła o pomoc, radę i opiekę się zwracają.

— Jeden z zasłużonych ubył z szeregu pracowników cichych, w dziejach naszej naukowości. D. 31 Stycznia r. b. zgasł w Poznaniu ks. Franciszek Malinowski, znakomity filolog, wytrawny badacz w rzeczach językoznawstwa, który nieocenione zasługi położył działami swemi, broniąc czystości języka polskiego. Ciężką niemocą dotknięty, od lat kilkunastu pozbawiony wzroku, dogorywał zacny kapłan, tę przynajmniej mając pociechę, że najważniejsze z prac jego zostały drukiem ogłoszone.

Cześć jego pamięci!

— Ze zmarłych w ostatnich czasach wybitnych osobistości, należy nam wymienić D-ra Teodora Tripplina, rozgłośnej niegdyś sławy pisarza. Powieści jego, podróże wkraczające w dziedzinę fantastyczności, wywołały z pojawieniem swem entuzyazm. Z kolei zapał ten stygł, autor nie związany nicią sympatyi z czytelnikami, został zapomniany, kraj opuścił a gdy po latach kilkunastu doń zawitał, dziwną znalazł oziębłość. Żył więc w ukryciu prawie, dopiero śmierć przypomniała go ogółowi; dobrą i złą stronę dzieł jego zaczęła teraz krytyka rozbierać: pozbawić go ona może zalet wytrawnego autora, lecz nigdy nie odbierze—sławy uczciwego i zacnego człowieka, jakim w rzeczywistości był nieboszczyk.

Pochowaliśmy też przed tygodniem zgasłego w sile wieku D-ra St. Chomętowskiego, psychiatrę i znakomitego badacza w chorobach umysłowych. Zmarły był zięciem czcigodnego A. E. Odyńca, pozostawił sierotom nieskażone imię.

— Śmierć rozhulała się na dobre, wyrywając mężów zasłużonych ojczyźnie. Galicyi również ubyły prawie jednocześnie dwie osobistości potężne w tamtejszych stosunkach: Rydzowski i Kornel Krzeczunowicz.

— Z bieżących wiadomości miejscowych niewiele mamy faktów do zanotowania. Karnawał spokojnie upływa, zaledwie czasami odezwie się echo głośniejszej zabawy; złe czasy, nadmierny zbytek wymagań zabiły u nas dawną serdeczną a ochoczą zabawę. Świetnie się jednak zapowiada bal kostiumowy, odbyć się mający w dniu 10 Lutego r. b. staraniem p. Górskiej, na rzecz Tow. Dobroczynności, które gwałtownie potrzebuje pokryć deficyt lat ostatnich, podobno 13 tysięcy rs. wynoszący.

— Z koncertów największe miał powodzenie odbyty dnia 2 Lutego w Towarzystwie Muzycznem, pod dyrekcyą nowego dyrektora p. Zygmunta Noskowskiego. Program składały same swojskie utwory, ani jedno obce nazwisko nie zaplątało się. Nieśmiertelni mistrze jak: Moniuszko, Chopin; po nich Żeleński, Górski, Noskowski, Zarzycki, Wieniawski—złożyli się na tę wiązankę utworów dla nas najsympatyczniejszych.

W wykonaniu brali udział: fortepianistka p. Melanja Więckowska, tak rzadko niestety, darząc nas grą swą miłą i wykończoną. W części wokalnej pani Szlezygier-Kamińska. Na skrzypcach zaś p. Górski, niezrównaną grą swą spotęgował wrażenie własnej kompozycyi mazurków. Wystąpił też chór Towarzystwa, który pod nowym dyrektorem obiecujące postępy zaczyna okazywać.

Chór odśpiewał „Ruinę" z sonetów Krymskich.

Koncert ten nader chlubnie rozpoczął działalność nowego dyrektora, któremu życzymy szczęścia i wytrwania na trudnej drodze.

Za to koncert p. Leopolda Auera zupełne zrobił fiasco. Artysta pierwszorzędny, nazwisko znane i cenione przez znawców, nie umiał jednak przyciągnąć publiczności; grał choć mistrzowsko, ale przed pustemi, w całem słowa tego znaczeniu ławkami.

— Niedzielny poranek dramatyczny na rzecz Kassy zaliczkowej dla całego składu teatrów naszych, powiódł się tez zupełnie. Już na dni kilka, wszystkie bileta zostały rozprzedane, dochód co najmniej wyniesie parę tysięcy rubli, nieliczące tego co wpłynęło ze sprzedaży programów, podjętej przez artystów i artystki przy wszystkich wejściach do teatru.

Program był urozmaicony, bogaty i nadzwyczaj długi; lecz nie powiemy aby znudził publiczność, gdyż składał się z samych pereł wykonanych mistrzowsko.

Nigdy nie słyszeliśmy orkiestry tak dzielnie wywiązującej się ze swego zadania, jak przy odegraniu uwertury z „Odpustu w Piermel."

Dalej dano „Epilog" do dramatu „Wit Stwosz" Rapackiego. Jest to całość odrębna od dramatu, o zakroju poważnym i stylu szlachetnym. Odegrali „Epilog" przepysznie: Królikowski, jako Wit Stwosz, panna Rapacka, jego wnuczka i p. Rapacki w roli Steinbauera.

W drugim akcie „Kopciuszka" popisywali się artyści opery: pp. Hermanówna, Wojakowska i Lewicka; panowie: Chodakowski, Filleborn, Kozieradzki i Suszyński. Z całego przedstawienia najsłabiej rzecz ta wyszła — lecz wykonanie w ogóle było staranne.

Balet dał trzy ustępy, z których zwycięzko wyszli: panna Cholewicka i p. Gillert.

Fraszkę sceniczną Musseta, „O czem marzą młode panienki" wypowiedziały p. Popiel-Święcka i panna Rapacka. Jak to misternie było oddane, z jaką delikatnością odcieni,—mogą ci tylko wyobrazić sobie, co znają grę p. Popiel i wiedzą, jak to ona czarować umie.

Reprezentantem orkiestry był p. Izydor Lotto, który świetnie odegrał koncert swej kompozycyi, nieszczególny jako kompozycya, ale oddany *con amore*.

W scenie obłąkania z „Hamleta" zbierała tryumfy panna Deryng, Ofelja; w „Żydach" (akt czwarty) nieporównany Żółkowski, jako Aron. To też grę tych ostatnich artystów osypano burzą oklasków.

Na zakończenie młodziutkie grono uczniów i uczennic baletu odtańczyło „Wesele w Ojcowie," mazura i krakowiaki.

Widzowie zostali uraczeni a nawet zmęczeni tak długiem i różnorodnem widowiskiem, a pod sekretem powiemy... wygłodzeni porządnie, gdyż przedstawienie ciągnęło się przeszło 4 godziny. Zaczęte o 1-ej, zaledwie po 5-tej zostało ukończone, pozostawiając miłe po sobie wspomnienie.

— Odbieramy od „Towarzystwa biblioteki polskiej" w Rumunii, sprawozdanie za rok 1880. Sympatyczna ta instytucya rozwijala się w roku ubiegłym bardzo pomyślnie, dzięki zabiegom czcigodnego J. I. Kraszewskiego i energicznej działalności członków stowarzyszonych.

Księgozbiór powiększył się o dzieł 400, przeważnie z darów: obecnie zawiera 1,900 dzieł w 2,815 tomach. Nie dość na tem, Towarzystwo energicznie krząta się około założenia szkółki, aby dzieci rodaków naszych na obczyźnie nie uległy wynarodowieniu.

W końcu, pisze zarząd: „Dziękuję wszystkim za życzliwe popieranie instytucyi, która na obczyźnie służy rozpierzchłym za punkt zborny i ognisko; prosimy ludzi dobrej woli w kraju, aby nas i nadal wspierali radą i uczynkiem, szczególniej w urządzeniu szkółki, aby co najrychlej zapobiedz wynarodowieniu dziatwy polskiej. Dla dopięcia tego celu jesteśmy zaledwie w połowie drogi". Rzeczywiście, na potrzeby szkółki, suma wynosząca 12 tysięcy franków, zaledwie w połowie jest zebraną i oczekuje dopełnienia od rodaków. Do najczynniejszych członków Towarzystwa należą ks. Chwała i Dr. Łukaszewski.

M. R.

RODZICE I DZIECIĘ,

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

Przyjście na świat dziecka może być klęską dla żyjących już ludzi, przeto nie dziw, iż tu i owdzie w starożytności, według Herodota—dzień ten obchodzono żałobą. A u nas? Byleby z konsumentem przybył na świat producent. Wszystko nam jedno, czy on produkuje bogactwo ekonomiczne, czy podnosi rozwój umysłowo-obyczajowy; zawsze jednostka ta odnajdzie się w społecznym budżecie sił. Ale cóż będzie, jeśli na świat przyjdzie potomek słaby, niedołężny, któremu żyć będzie ciężko? Jeśli on ciężarem się stanie naprzód własnej rodziny, a następnie społeczeństwa? Ha! to i wtedy obchodu urodzin nie zamienimy na obrzęd pogrzebny. Bo wierzymy mocno, że i wtedy, i wtedy nawet przybyła nam siła, potrzebna niezbędnie. Na widok tego cierpiącego członka ludzkości będziemy rozwijali w dalszym ciągu skarby uczuć naszych, będziemy go kochali i na nim kochać się nauczymy. Miłość dla słabszych jest zawsze szlachetną i nikt nie zdoła zaprzeczyć, że uczucie to może się opłacać społeczeństwu równie dobrze, jak każde inne szlachetne uczucie. Patrząc na istoty niedołężne, upośledzone, współczujemy z niemi już to w ognisku rodzinnem, już też w następstwie powołujemy pod broń znacznie jeszcze szlachetniejsze uczucie i dobroczynność publiczną. Jakże bogate są narody, które taką dobroczynność i litość uważają sobie za obowiązek; wszakże to jest nowy powód, aby więcej pracować; wszakże to jest nowa potrzeba, domagająca się od nas, abyśmy ją czynnie zaspokoili. Litość dla nieszczęśliwej dziatwy, kalek oraz starców, coraz wyraźniej wchodzi w skład już stanowczo rozwiniętej naszej obyczajowości; przestajemy ją zachwalać i rekomendować, a moglibyśmy jedynie objaśniać jej użyteczność w dziele uspołecznienia, o co tu obecnie nie chodzi. Zaznaczamy tylko, iż uczucia przejawiające się jako fakta w życiu ludzkiem, w ogóle wzięte, związane są ściśle z całym ustrojem społecznym, przenikają sobą i piętnują cały dziejowy pochód. Przestaje być wprawdzie niejedno pięknem, gdy jest pospolitem i codziennem, ale jest tu może za to chwila najwyższej użyteczności. Tylko próżniaków można zachęcać do pracy za pomocą literatury beletrystycznej, ludzie istotnie pracowici nie będą wcale słuchali tych kazań.

Więc w każdym razie przyjście na świat dziecka jest szczęściem dla nas, jak dla owych biblijnych rodzin, które, lejąc łzy na swą gorzką niedolę pod wierzbami Babilonu, miały jedyne chwile szczęścia, kiedy Jehowa płodnością obdarzał ich matki. Rodzaj takiej nauki, któraby nas wiodła do zatraty uczuć przez długie wieki wychowywanych, któraby głosiła, iż tylko chleb powszedni jest nam potrzebny, potoczyłby nas w owe prądy wyłącznego materyalizmu, gdzie już w pierwociu swojem człowieczy umysł jęczał, wzdychając tajemnie do szerszego żywota. My tam już nie powrócimy! Przejdziemy i po drodze usłanej kwiatami, poezya będzie nas zachęcała, nauka przekonywała, prawo zmuszało, aż pragnienia nasze ludzkie staną u celu, jako nieubłagane potrzeby życia. I najpodnioślejsze a rzadkie dzisiaj cnoty mogą stać się tak prozaiczną koniecznością, jak powszechna konieczność pracy, aby istnieć. W tem to znaczeniu możemy mówić o szlachetnych uczuciach, których się jeszcze cała ludzkość nie nauczyła dokładnie, jako o kwiatach pięknych, co mogą zostać pożytecznemi owocami, a mogą i zmarnieć. W temto znaczeniu wielcy filozofowie pojmowali piękno, nie umiejąc go oddzielić od dobra. Rzeczywiście, sztuki piękne możnaby przyrównać do muzyki, która przygrywa armii, idącej wykonać czyny wielkie i trudne.

A zatem, ktokolwiek jesteś, mała dziecinko, rodzisz-li się dla nas w pałacach, lepiance, czy stajni, my ludzie mamy cię zawsze za potomka rodu wielkiego. My cię wychować chcemy! A choć nam nieraz i ciężko pracować, choć idą szeregi krwawych częstokroć wieków, jednakże widać to wyraźnie, że siły nasze są coraz energiczniejsze, coraz wyższą i szlachetniejszą jest nasza działalność. Wieków minionych nie nazwiemy złotemi: możemy przeszłość szanować, ale nie tęsknić do niej. Ze samowiedzą przyszłość tylko budować wolno: spokojni, wytrwali, dzielni bądźmy. W tę przyszłość wierzmy, bo wierzyć w nią jest to także jeden z charakterystyczniejszych rysów człowieka, który tę wiarę przez długie wieki uprawiał, jakkolwiek nie wierzył nigdy, aby kiedybądź mogło być na ziemi niebo. My wierzymy w przyszłość ziemską, choćbyśmy w zaziemską zwątpili nawet.

Lukrecyusz w dziele swojem *de natura rerum*, ks. V, w. 223, opiewa smutek i cierpienia nowonarodzonego:

......Ut saevis projectus ab undis
Navita, nudus humi jacet, infans, indigus omni
Vitali auxilio, cum primum in luminis oras
Nixibus ex alvo matris natura profudit,
Vagituque locum lugubri complet, ut aequumet
Cui tantum in vita restet transire malorum. [1])

Genialny Rzymianin mniemał widocznie, iż dziecię przeczuwa przyszłe nieszczęścia swoje, albo rodzaju ludzkiego. Tymczasem kwilenie dziecięcia ma swoje przyczyny zewnętrzne. Łono matki było dla niego dotychczas jedynym znanym światem, do którego zaledwie mała część wpływów zewnętrznych przedostać się mogła.

A teraz wszystkie one, jak potok, spadają na ten młodziutki, tak delikatny organizm. Cieniuchna powłoka ciała drży w bezpośredniem zetknięciu się z temperaturą atmosfery. Powietrze natarczywie wdziera się do płuc, zgiełkliwe jego fale wpadają w ucho a promienie światła rażą jakby pociskami przymkniętą i przezroczystą powiekę. Gdyby ta maleńka istota posiadała już wykształconą czuciowość, dowiedzielibyśmy się od niej zapewne, jak ciężkiemi są dla człowieka owe pierwsze lekcye świata. Na szczęście dla niej, ów drobny kształt ludzki jest zaledwie nawpół czującym organizmem: brak rozwoju stanowi tutaj o wytrzymałości.

A zkądże się bierze teraz tkliwość i miłość rodzicielska dla przyszłego na świat potomka? Dziecię jest materyalną i duchową cząstką swoich rodziców. Roślina, która pączkami strzela od pnia swojego, karmi te pączki i z nich wyrosłe latorośle sokami własnemi. Owady wyszukują troskliwie miejsca, gdzieby bezpiecznie mogły umieścić jajka swoje i zabezpieczyć od zaguby wylęgłe z nich gąsieniczki. Ptak w zaciszu, wśród liści ściele sobie gniazdko pracowicie, własną piersią ogrzewa jajka, później nagie pisklęta. Słowem miłość macierzyńska wśród całej natury organicznej rozpościera się, jakby najpowszechniejsza religia. W zachwyceniu wołamy, że uczucie to jest wielkie, piękne, święte, bezinteresowne, a zapominamy o jednej rzeczy tylko, iż jest ono przedewszystkiem i najgłówniej *korzystne*. Ów popęd przyrodniczy, tak wyraźnie stopniowany na różnych szczeblach życia, wystąpi niezawodnie w uspołecznieniu ludzkiem wzbogacony jeszcze nowemi dodatkami,—wystąpi niezawodnie—mówimy—gdyż jest *korzystny*. Staje on się tu obowiązkiem i dąży do olbrzymiego rozwoju, staje się podwaliną budowy społecznej całkowitej, wytwarza on *rodzinę*, różną od każdej biologicznej rodziny. Rodzinne uczucia nasze przez proces ciągłego działania i oddziaływania urosły już niezmiernie; siła ich wystarcza nietylko na pokrycie wszelkich potrzeb, jakie w budżecie rodziny szeroko pojętej zjawić się mogą, ale znaczne nadwyżki idą nieustannie gwoli powszechnego dobra społecznego, wzmacniają nową formę życia,—to, co my *narodowością* zowiemy. Jednocześnie z tą formą wzbogaca się niezmiernie i sama forma życia rodzinnego, tak iż możemy mówić o *rodzinie cywilizacyjnej*. Jak daleko może sięgnąć prąd ten w drodze doskonalenia się, trudno oznaczać; jednak to pewna, iż możemy oczekiwać coraz wyższego uszlachetnienia tylko. Formy tak skrystalizowane i przenikające sobą organizm społeczny na wskróś, gdyby gdzieś naruszone i podkopane zostały, musiałyby zawsze zwiastować ruinę organizmu.

Z tak przygotowanego stanowiska możemy słów kilka powiedzieć o obowiązkach rodziców. Zdaniem naszem, spełnienie obowiązków rodzicielskich jest rzeczą trudną, jeśli w ogóle mamy od ludzi wymagać czegoś więcej nad to, co i zwierzęta dają swojemu potomstwu. Bo chociaż słusznie można twierdzić, że miłość ludzi jest inną aniżeli miłość zwierząt; ale różnica może się wykazać dopiero w czynach, do których za motor służyło to lub owo uczucie. Juścić, gdzie się okazuje brak miłości zwierzęcej, tam o zobowiązaniach wyższych mowy być nie może, gdyż hierarchie uczuć wyższego porządku wspierają się na niższych i z nich pochodzą. Gdyby np. matka nie czuła w sobie instynktu bronienia dziatwy przed groźną dla ich życia napaścią, co—jak wiadomo — wybornie załatwia kura z narażeniem na szwank własnej całości, tam niepodobna debatować już o warunkach ludzkiego *wychowania* w rodzinie. Otóż o wychowanie właśnie nam chodzi i odnośnie do niego tylko, możemy stawiać jakieś wymagania; mówię *wymagania*, gdyż wyraz *obowiązek* niezupełnie się nadaje, jakkolwiek go tu i owdzie używamy. Wymagać bowiem trzeba znacznie więcej od ludzi, niż oni uczynić mogą; na tych wymaganiach wspierają się ideały wiodące nas ku wyższemu uszlachetnieniu a ukazywane zwykle przez jednostki, które sięgnęły dalej w rozwoju po za zwykły poziom. Ale obowiązkiem być to jeszcze nie może, gdyż nie jeden nie jest w stanie zamienić w rzeczywistość prawdziwie wzniosłych aspiracyj.

(d. c. n.)

[1]) „Jak żeglarz wyrzucony na ląd falami srogiemi, leży oto nagi na ziemi, niemowlęcy i pozbawiony wszelkich środków do życia, od chwili gdy się zetknął z krainą światła, gdy go natura wydarła z łona matki; smutnym płaczem napełnia oto miejsce swego urodzenia.“ I słusznie, albo mu nie przyjdzie wytrwać w życiu wśród tylu nieszczęść.

Z MALARSTWA.

Pismu naszemu przydajemy nowy dział, pragnąc wzbogacać, o ile można w ramach wskazanych programem, treść jego i wpływ żywotny na kierunki życia umysłowego w społeczności. Dzisiejszy ruch artystyczny w kraju nabrał siły i cechy cywilizacyjnego czynnika w rozwoju wewnętrznym naszego ogółu, co więcej, pierwszy on zdaje się torować nam drogę do powszechnego uznania w gronie ludów, pracujących wspólnie dla dobra zbiorowej cywilizacyi: nie ulega to wątpliwości, że nasi celniejsi mistrze pędzla i dłuta z doraźniejszym i głębszym wpływem przemówili do Europy, aniżeli nasza poezya i—przeważnie kompilacyjno-naśladowcza nauka. Malarstwu więc naszemu należy się nietylko podziw, ale i zaszczytna wdzięczność ogółu za trwalsze zwrócenie uwagi zagranicy na pracę naszą i twórczość umysłową. Dostateczne to stwierdzenie potrzeby i żywotności rubryki krytycznej, poświęconej sztukom plastycznym. Z natury i rozmiarów pisma naszego wypływa, że zwracać będziemy wzrok nasz na wybitniejsze tylko utwory, górujące bądźto potęgą i ważnością myśli, bądź artystycznemi zaletami wykonania. Przedmiotu wrażeń dostarczą nam obficie trzy stałe warszawskie wystawy sztuk pięknych: „Towarzystwa zachęty,“ tudzież salonów Ungra i Krywulta.

* * *

Wojciech Gerson zapoznał teraz dopiero Warszawę z obrazem, przed kilku laty podobno już

stworzonym: „Jadwiga i Dymitr z Goraja.“ Należy on do rzędu jego kompozycyi historycznych, w których artysta nie wahał się nałożyć wędzidła ochoczej fantazyi rodzajowej, ażeby dziełu swemu zachować styl ściśle historyczny, a przedmiotowi jego wierne rysy, nakreślone przez dziejopisarza. Osnowa była daną w historyi: zajmująca dramatyczność jej i zapas treści psychicznej tkwią w najzwięźlejszem powtórzeniu prawdy istotnego wydarzenia; pozostać wiernym tej prawdzie, nakazywał malarzowi wzgląd na dostojny charakter dziejopisarstwa, które nie lubi alegoryi, ani rodzajowej ornamentyki, wydmuchniętej z wyobraźni tam, gdzie samo kreśli gotowe, wielkie obrazy. Dlatego ścisłość i zwięzłość historyczna kompozycyi Gersona większą tymrazem stanowi zaletę wielkiego płótna, aniżeli napełnienie jej czynnikami bogatej akcyi fantastycznej.

P. Gerson pozostał wiernym historyi, jakikolwiekby zwrot przybrała dalsza dyssertacya uczonych badaczy o charakter stosunku, jaki łączył królową Jadwigę z księciem Wilhelmem Rakuzkim. Czyli przyszłe owoce badań stwierdzą, iż kochająca się para złączoną została istotnie ślubem małżeńskim, jeszcze zanim Jadwiga usiadła na stolicy Piastów, tak, że książę Wilhelm przybywszy do Krakowa, uznał się w prawie małżonka i zamieszkał na zamku, dopóki go ztamtąd kasztelan krakowski, Dobiesław z Kurozwęk, nie usunął—czy też ostoi się wersya, iż związku nie było i że Wilhelm ukrywał się w Krakowie przed polskimi magnatami w domach niemieckich mieszczan, a romantyczne schadzki z Jadwigą miewał tajemnie w refektarzu Franciszkańskim, p. Gerson taki wybrał moment z tych dziejów serca walczącego z rozumem stanu i potrzebą narodu, iż— niezależnie od dalszych losów polemiki naukowej—obraz pozostanie zawsze prawdziwym i wiernym w swej historycznej osnowie. Dzieje zapisały bowiem wyraźnie fakt, iż strzeżona pilnie na zamku przez dygnitarzy małopolskich Jadwiga, porwała raz słabą dłonią dziewczęcą za topór i uderzyła nim o drzwi gniotące serce, nie ciało, więzienia, pragnąc uciec w objęcie ukochanego Wilhelma, ale w drodze jej stanął Dymitr z Goraja z orszakiem dworzan i płochą myśl słowem roztropnem, poważnem a łagodnem rozproszył. Tę to właśnie chwilę obrał Gerson za przedmiot kompozycyi o wielkich rozmiarach, pomimo, iż na obrazie znalazło się tylko parę niezbędnych osób: Jadwiga ze służebną i Dymitr z Goraja, jednym czy dwoma towarzyszami.

Jadwiga stoi przy ciężkiej grubej bramie korytarza zamkniętego, wiodącej na dziedziniec; w ręku dźwiga topor, którym już wyciosała małą szczerbę w odrzwiach; na ziemi leżą trzaski, jako nieme świadki jej winy, i kilka róż płonących, rzuconych tajemniczą ręką, którą widzimy po za żelazną kratą okienka, powyżej bramy. Ręka to Wilhelma sypie te kwiaty, ażeby usłać niemi Jadwidze ścieżki miłości i rozpromienić ciężką chwilę przeboju, która ją nawiedziła. Postać Jadwigi, ubranej w biały, gustownie sfałdowany atłas, należy do najpoetyczniejszych kreacyi płodnego malarza: nader szczęśliwie powiodło się Gersonowi na tło dziewiczego wdzięku i czystej duszy rzucić wyraz przerażenia, jakiem przejął schwytaną na goracym uczynku dziewczęcę, widok surowej postaci Dymitra. Łza srebrna zabłysła w oku Jadwigi — jest w niej skarga serca i prośba o przebaczenie, a prośba tak serdeczna, tak przejmująca, tak naiwna, że w blasku idealnym tej łzy tonie cała wina młodej królowej; kobieta, co tak zapłakać umie, nie zdoła grzeszyć, chyba sercem, a to są grzechy, których niewzruszoną miarą kamiennej sprawiedliwości mierzyć, ni karać nie można. To też w obliczu Dymitra nie widać grozy, ani oburzenia: gniew jego będzie ojcowskim, łagodnym a przekonywającym. Kompozycya tej figury szczególnie powiodła się artyście: uwydatnienie surowego wyrazu, wydobytego nie z osobistej zgryźliwości, ale z poważnej, nie znającej kompromisów sumienia ani wzruszeń serca, idei politycznej, którą wyobraża, nie razi szorstkością ani przesadą; *zgroza* na widok płochego czynu Jadwigi nie stopniuje się do rozmiarów *grozy*, pozostaje ona logicznym i naturalnym wyrazem wrażenia, jakiem przejąć musiał doradcę korony i stróża narodowej przyzwoitości, widok wyłamującej się z prawideł obowiązku królowej. Artystycznie postać to prześlicznie skomponowana: w sile i tęgości jej przejawia się szlachetność, w majestacie prostota. Jestto imponujący profil dziejowy, w pomyśle szczytny a wykonany w wielkim, iście historycznym stylu. Modelowany poprawnie i plastycznie, ułożony naturalnie i efektownie, staje on na pierwszym planie kompozycyi, jako główny czynnik akcyi, jako szersza idea historyozoficzna obrazu, w obec której usuwa się nawet nieco w głąb samaż Jadwiga, wyobrażająca indywidualny poryw kobiety, która *w tej chwili* nie dorasta do wyżyny przeznaczenia. Układ całości tchnie swobodą i poważnym wdziękiem: kostium Jadwigi traktowany nieco szablonowo i malowany ciężko, ale draperya Dymitra, czarny kaftan ze złotym haftem, służyć może za wzór, jako studyum epoki i jako sposób traktowania kostiumu. Koloryt silny i głęboki, utrzymany w tonie, i tchnący poważną, surową harmonią.

„Skazana“ *W. Rossowskiego* (w salonie Krywulta) jest pierwszą wielką kompozycyą młodego ucznia Matejki, i wychowańca szkoły krakowskiej, nieznanego dotąd w Warszawie. Patrzymy tu na jeden z owych okrutnych aktów sprawiedliwości średniowiecznej, niezłagodzonej duchem delikatniejszych instynktów humanitarnych ani ideą miłosierdzia, tkwiącą na dnie odczutego cieplej i rdzenniej chrześcijaństwa. Przy jednym z bocznych portalów kościoła Panny Maryi w Krakowie, stoi pod pręgierzem hańby, młoda, piękna kobieta, okryta w sztywny, zgrzebny kaftan, u szyi opasana łańcuchem, spojonym kłódką, z wyrokiem sądu wypisanym na pergaminie, zawieszonym u piersi, z puklami bujnych czarnych włosów, malowniczo rozsypanemi na szyi, bosa, wystawiona na urągowisko lub litość tłumów, wychodzących z nabożeństwa świątecznego. Przed nią w lichtarzu płonie gromnica, dla spotęgowania siły szyderstwa, opleciona wiankiem; obok kat z gołym mieczem. Tłum wychodzący z kościoła ciśnie się do smutnego widowiska: jakaś mieszczka w złotogłowiach i grubym, zielonym aksamicie, z trywialną pychą i wzgardliwym uśmiechem mija grzesznicę; rzuciłaby na nią kamieniem, aby pokazać, *że ona nie taka*; tu znów staruszka bronzowa i koścista wtapia swe siwe, zjadliwe oczy, jak wampir, w piękną pokutnicę; jakiś rzemieślnik tłoczy się ciekawie do tablicy, aby przeczytać osnowę wyroku; żaczek przeraził się i cofa ze strachem, a z poza jego pleców, urwis brukowy z urąganiem podaje „skazanej“ białą lilię; na środkowym planie umieścił artysta wybitną grupę dwóch kobiet, piastujących zapewne w hierarchii mieszczańskiej wybitny posterunek: matka, sędziwa matrona, w średniowiecznym stylu, w charakterystycznej lisiej szubie, i córka, dumna, chłodna, obojętnem muskająca ledwo spojrzeniem smętne widowisko, po nad które czuje się wyższą dostojeństwem rodu, i nie widzi w srogiej scenie nic więcej, jak zbiegowisko uliczne. Wiele jeszcze grup i figur składa się na barwną i ożywioną całość kompozycyi; do najpiękniejszych szczegółów jej zaliczamy dziewczynkę jasnowłosą, w niekształtnej świątecznej sukience niebieskiej z dzieckiem na ręku: poczciwe to stworzenie — córka zapewne jakiego rzemieślnika lub służebna u bogatej mieszczki,— patrzy na pokutnicę z dziwnie prostym, naturalnym a szczerym i głębokim wyrazem współczucia. Na dalszym planie z prawej, dwie inne młode kobiety odczuły także grozę nieszczęścia: jedna w dłoniach ukryła oczy, druga podtrzymuje słaniające się jej ciało, z wyrazem skargi niemej a wymownej w spojrzeniu. Zwraca również uwagę na siebie postać młodego mężczyzny w hiszpańskiej sukni, który uchylił kapelusza na widok egzekucyi i mimowolnie rękę położył na piersi, jakby tym ruchem chciał wyznać, że w nieszczęściu tej ładnej dziewczyny widzi następstwo krzywdy, wyrządzonej przez mężczyznę.

W Rossowskim witamy artystę, który, jak widać z osnowy i nastroju obrazu, pragnie wstąpić w grono, niezbyt liczne, naszych malarzy, dążących do wyobrażenia językiem barw szerszych i głębszych dramatów psychicznych, i w tym celu nie lęka się użycia różnorodnych, należycie usitosunkowanych żywiołów akcyi wewnętrznej, umiejąc nadać im właściwą charakterystykę, poczerpniętą z sumiennego zastanawiania się nad treścią duszy ludzkiej i formą jej objawów. W tych studyach umie on dotrzeć do prawdy i zatrzymać się w mierze: w boleści u młodego artysty niema afektacyi, w malowidle typowem niema jaskrawej przesady. Prostota i szczerość cechuje u niego każdy odcień psychologicznej charakterystyki, której nie brak werwy i siły, chociaż nie widać wysiłku na efekta. Skazana, z okiem przygasłem, z licem skamieniałem od cichej a głębokiej boleści, pełną jest smutnego wdzięku i godności: tłoczące się przy niej figury mają dobrze trafiony pokrój typowy i zdradzają pilne obserwacye natury. Wśród takiego bogactwa figur nie dziw, że niejednej czegoś braknie, że może jest ich zawiele, że ani stereotypowy żebrak i muzykanci, ani hoża przekupka z jarzynami, ani niezgrabny student z rozsypanemi na bruku seksternami, ani ten drugi psotnik, który stojąc poza nim, cieszy się z kłopotliwego przypadku koleżki, ani wreszcie ta dziewczyna na ostatnim planie z wyuzdanem wejrzeniem i złośliwym uśmiechem, jakby chciała na przekorę sprawiedliwości ludzkiej z bezczelnością bachantki zakonkludować: a jednak grzeszyć będziemy!—że figury te nie są bądźto potrzebne i psują jednolitość myśli w obrazie, a kompozycyę rozrywają na atomy, bądźto nie odźwierciadlają w sobie wrażeń, jakie scena podobna w danych warunkach epoki wywrzeć na nich musiała.

Nie dziw jednak, że bogaty zasób młodej wyobraźni wywiódł na płótno ten i ów szczegół zbyteczny lub nietrafny: obok nich tyle spotykamy tu właśnie trzeźwości i ładu refleksyjnego, tak poważne traktowanie sztuki, przy takiej pewności i precyzyi wykonania technicznego, że zapominając o brakach, tem żywiej czujemy wartość i bogactwo sił żywotnych młodego talentu. Trochę to pędzel jeszcze szorstki i mechaniczny, znać, że przebył dopiero szkołę a nie obejrzał jeszcze szkół, rozsianych po galeryach: niema tu jeszcze zatem wytworniejszych finezyi pędzla, niema zajmujących kombinacyi kolorystycznych, ale niema też i tej śmiałej, a niebezpiecznej brawury, zrodzonej na mieliznach płytkiego studyum genialnych manier a zacierającej szybko indywidualizm młodych talentów i rzucających je na fałszywą drogę naśladownictwa świetnych a nieprzetrawionych rdzennie wzorów. Też sama rozwaga i miara, co w charakterystyce, stwierdza się i w układzie planów, tchnącym swobodą i jasnością motywów. W obrazie jest dużo powietrza i perspektywy. Rysunek przeważnie poprawny i zgrabny, tu i owdzie jeszcze sztywny i nieuszlachetniony. Kolorytowi zarzucić musimy pewien ogólny przebłysk tła szafranowego, który stanowi jakby ton zasadniczy, na którym rozwinęła się dopiero gra barw indywidualnych. Nie brak mu siły i expressyi, ale z czasem nabierze zapewne więcej lekkości i ożywienia.

W każdym razie „Skazana“ świadczy o szczerem i wyższem uzdolnieniu, które postęp dobrze pokierowanych studyów i pilna obserwacya natury uszlachetni i wykształci w pierwszorzędną siłę malarską.

Bronisław Zawadzki.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Styczeń.

Nie myślę kreślić wam, miłe czytelniczki, nekrologu zeszłego z tego świata staruszka, roku 1880, bo chwaląc jego cnoty narażiłabym się tym, którym bolesne ciosy zadał, a ganiąc go, wyrządziłabym przykrość tym, którym przyniósł szczęście i dla których pamięć jego drogą zawsze pozostanie. Chcę tylko cofnąć się pamięcią o kilka tygodni i wspomnieć z ostatku dni jego o tem, co wzmianki godne.

Dwa dni przed wilią Bożego Narodzenia mieliśmy loteryą gospodarską na korzyść ubogich, urządzoną za pośrednictwem pań dobroczynnych z współudziałem publiczności. W obszernej reitszuli za miastem, urządzono eleganckie kioski,

kramiki, w których panie siedziały przy fantach, składających się z wiktuałów jak: strucli, masła, owoców, zajęcy, kapłonów, jarzyn, legumin, win, araku, naczyń gospodarskich i innych drobiazgów. Muzyka wojskowa przygrywała, napływ publiczności był wielki i ogólna panowała wesołość. Dziwnie bo też czasami los rozrządził fantami—jedna młoda dama wygrała cielątko, uczeń uniwersytetu beczkę kapusty, wiejska kobieta piękny serwis do kawy, a pewien duchowny żelazko do prasowania i t. p. Dochód z loteryi był znaczny. W pierwszych dniach grudnia słyszeliśmy grę znakomitych artystów z Warszawy, pp. Michałowskiego pianisty i Barcewicza skrzypka. Koncert ten był prawdziwą biesiadą dla amatorów muzyki i w trudnemby był położeniu ten, któryby miał osądzić komu się należała palma pierwszeństwa. Gra p. Michałowskiego odznacza się świetną techniką (przypominającą nieodżałowanego Tausiga), wzorowem cieniowaniem, miękkością i siłą naprzemian i niezwykłą elegancyą, Scherzo h moll Chopina zadowolniło najsurowszego krytyka, a Campanella Liszta wywołała niezwykły entuzyazm i musiała być powtórzoną. Pan Barcewicz zachwycił słuchaczy rzewnością i głębokością tonu, siłą i pięknem frazowaniem! 5-go stycznia był koncert panny Maryi Majewskiej lwowianki, którą słyszeliśmy przed dwoma laty i przyznać musimy, że znaczny zrobiła postęp; życzyćby tylko należało więcej artystycznego ciepła. Następnie dał się słyszeć p. Wieniawski Józef, którego gra w ogóle się podobała, nie wywołała jednak zapału — ha! być może, wina to sali, która zbyt homeopatycznie była ogrzaną w stosunku do silnego mrozu. Towarzystwo muzyczne urządziło wieczorek Schubertowski, z którego najlepsze wrażenie pozostawił duet na skrzypce i fortepian— i chór mięszany z Fausta. A propos koncertów, mamy nowość: promenade – concert. Jużto Towarzystwo Ś-ej Salomei opiekujące się podupadłemi wdowami nie próżnuje, przełożona tegoż pani Darowska wpadła na szczęśliwy pomysł, urządzenia tej muzykalnej przechadzki: pomysł powiódł się nadspodziewanie.

Koncerta te odbywają się co niedziela od 4-ej do 7-ej w górnych salach Sukiennic i tem tylko się różnią od koncertów letnich w ogrodzie strzeleckim, że zamiast słońca, mamy płomienie gazowe, zamiast parasolek eleganckie mufki, w bufecie zaś, zamiast lodów, lub wody sodowej, kipi wielki samowar, a piękne rączki pań stowarzyszonych, nie mogą nastarczyć podawać herbaty. Konwersacya nader ożywiona, jużto o przetańczonych balach, już o projektach na przyszłość, o nowych znajomościach i t. p. Z tego wszystkiego najpiękniejszym jest rezultat, że dochody dla biednych wdów, co tydzień wzrastają. Każdy z tych koncertów przynosi kilkadziesiąt do stu reńskich.

Na polu działalności kobiecej postęp coraz większy. Widzimy wiele stowarzyszeń mających na celu dobro bliźniego, widzimy coraz szerszy zakres prac którym się poświęcają, a nasze magnatki umiejętnie korzystają z majątków, poświęcając część ich na podniesienie ludu moralnie i duchowo.

W Psarach na Rusi, własności hr. Reyowej, odbył się w Boże Narodzenie popis wiejskiej dziatwy, kształconej przez Siostry Służebniczki. Publiczność była liczna, wiele gości ze dworu, kilku kapłanów i włościanie miejscowi. Uroczystość rozpoczęto pacierzem, później pięknie odśpiewano kilka kolęd polskich i ruskich, dalej katechizm, nauka o obowiązkach gospodarzy, o cnotach, o powinnościach dzieci, podwładnych, a wszystko to trafnością odpowiedzi w podziw obecnych wprawiało. W końcu odbył się rodzaj amatorskiego przedstawienia pastuszków w pięknie urządzonej szopie. Role były tak wyuczone i odegrane, że na deskach sceny, mogłyby nawet efekt wywołać. Jakże wdzięcznym jest lud ten swej Pani, która nie szczędzi kosztów ni starań na wykształcenie, a tem samem, na podniesienie dobrobytu poddanych.

W Rymanowie w Galicyi, właścicielka hr. Anna Potocka założyła szkołę snycerstwa i rzeźby. Kilkudziesięciu góralików, pod kierunkiem najlepszych nauczycieli, wyrabia co rok znaczną ilość ślicznych gracików z drzewa, które tak gustem, jak i wykończeniem, mogą iść w zawody z zagranicznemi. Największa ilość tych przedmiotów sprzedawaną bywa w lecie u wód. Nietylko w kraju, ale i zagranicą rymanowskie wyroby zyskały uznanie. Jeżeli kto, to lud górski potrzebuje koniecznie mieć w ręku poboczny zarobek, bo w razie, gdy rok nie dopisze, czekałaby go nędza. Rymanowscy też górale głodu się nie boją, bo mają za co kupić, czego im zabraknie.

Co się tycze prac kobiet, jak mówiłam, mają już teraz coraz szersze pole. Mamy ekspedytorki pocztowe, mamy urzędniczki asekuracyi, telegrafistki a nawet na akademii mamy unikat, u-czennicę medycyny.

Z rzemiosł, rękawicznictwo ma kilka adeptek, mamy także artystkę kwiatów—mówiąc artystkę, nie przesadzam wcale. Pani Pachulska uczyła się w Paryżu i wyrabia tak piękne kwiaty, że trudno je odróżnić od prawdziwych. Będąc w jej zakładzie, zdawało mi się, że jestem w przepysznej oranżeryi: hiacynty, goździki, heliotropy, fiołki i rezedy zda się pachniały, a różom brakowało tylko kolców. Zamawiać można kwiaty, jakie kto zamarzy — najwybredniejsze też panie nie sprowadzają już z zagranicy garniturów do swych toalet. Widziałam właśnie skończone wieńce z różnokolorowych werbenek aksamitnych – prześliczne!

Rzeźba i drzeworytnictwo ma coraz więcej zwolenniczek, to ostatnie szczególniej.

Dziewczętom klas niższych nie brak u nas zarobku, pominąwszy bowiem szycie i służbę, znaczna liczba pracuje w fabrykach. W cegielni p. Barucha w Łagiewnikach pod Krakowem, wyrób dachówek, tylko dziewczętom jest powierzony — do wyrobu tego służy im stosowna maszyna, a robota zręcznie i szybko postępuje. Fabryka giętych mebli p. Kohna przy ulicy Wolskiej, używa kobiet do wyplatania. W fabryce cygar przy ulicy Rajskiej, kilkadziesiąt dziewcząt pracuje. Jedna taka robotnica zarabia 8 do 10-u reńskich tygodniowo.

Nowy rok, to jak biała nie zapisana karta, nie wiadomo co nam powie, jak zacznie, jak skończy. Tymrazem zaczął tak dziwnie, bo równocześnie zasmucił i ucieszył Kraków. Zasmucił, bo przerwał nagle pasmo dni życia ś. p. Andrzeja Rydzowskiego posła naszego, męża pełnego zasług—człowieka niezwykłej skromności, a obok tego nieugiętego w walce, gdy szło o przeprowadzenie jakiej zbawiennej reformy. Przeprowadzenie mimo olbrzymich przeszkód ustawy przeciw lichwie, która wyrwała ze szponów oszustów lud nieoświecony, zyskało ś. p. Rydzowskiemu serca całego narodu. Dziś już i obce państwa dopominają się tej ustawy. Ś. p. Rydzowski umarł w Wiedniu, zwłoki jego przywiezione do Krakowa, złożono w grobie własnym, obok ukochanej żony, przy licznym udziale stroskanej publiczności. Strata jest tak wielką, że prędko powetować się nie da. Po tak ciężkim smutku, zwykle przychodzą dni pociechy. Kraków też doznał radości, otrzymawszy wiadomość, że prezydent miasta dr. Zyblikiewicz, zamianowany został marszałkiem krajowym—zaszczyt to wielki i chluba dla nas. Prawdą jest, że tracimy przez to prezydenta, którego nie łatwo godnie zastąpić, ale z drugiej strony, możemy mieć nadzieję, że dawny ojciec miasta, nie zapomni o swych dzieciach i wiele dobrego wpływem swoim zdziałać może. Miasto przygotowuje na dzień pożegnania Marszałka, wielki obiad, iluminacyą i pochód z pochodniami.

Karnawał jest obecnie w samym środku i zdaje się, że to co będzie, przeważy świetnością to, co było. Bal akademicki dawniej słynny przepychem toalet i napływem publiczności miejscowej i zamiejscowej — w tym roku liczył 26 par tańczących. W tym tygodniu będzie bal prawników, któremu obiecują wielkie powodzenie — najpiękniejszym będzie jednak bal na pomnik Mickiewicza: cała nasza arystokracya, weźmie w nim udział. Wiele osób zamiejscowych zamawia już bilety i mieszkania w hotelach. Trzy wieczory tańczące dane przez damy Towarzystwa Ś-ej Salomei, powiodły się znakomicie. Nie szukać tam bogatych strojów, pereł, brylantów, lecz za to zabawa idzie ochoczo. Na Salomejkach wiele młodych panienek stawia pierwsze kroki na scenie świata, jest to jakby egzamin wstępny do balu publicznego.

Z balów przejdźmy do Muzeum techniczno-przemysłowego, w którym widziałam cenny zbiór haftów włościańskich; sądzę, że znajdę pomiędzy czytelniczkami amatorki haftów i robót ręcznych ludowych. Znajdują się tu śliczne roboty wiejskie, hafty z Podola, Litwy, Ukrainy i Wołynia, w liczbie do 700 sztuk. Prócz tego rozmaite wyroby serbskie i słowackie, kilkadziesiąt strojów ludowych całej Polski, prześliczne stroje rusinek, do półtora tysiąca różnobarwnych tkanek przez lud wyrabianych, z Litwy, Żmudzi, Rusi i Królestwa. Podziwiać trzeba artystyczny smak prostego ludu, jakim celują wyż wymienione hafty, ten dobór kolorów, tę harmonią deseni, a wreszcie delikatność wyrobu, grubemi i do ciężkiej roboty przywykłemi rękami. Wszystkie te okazy, są darami życzliwych osób. Muzeum od dawna przygotowuje wydawnictwo tych cennych haftów ludowych i ma już gotowych stokilkadziesiąt tablic, malowanych przeważnie przez uczennice muzealne, ale brak funduszów stoi na przeszkodzie wydawnictwu, którego koszta zawysokie, aby niemi obciążyć dochód muzealny, w obec wydatków i prac które Muzeum Krakowskie spełnia.

W teatrze nic nowego, oprócz „Kościuszki pod Racławicami" (pseudonima Lassoty). Sztuka ta przedstawioną była od świąt Bożego Narodzenia 18-cie razy w przepełnionym teatrze (rzecz niepraktykowana u nas). Sceny efektowne, lekka muzyka ludowa, wywołują niezwykły zapał. Na sobotę 5-go lutego zapowiedziana tragedya Szekspira Koryolan, w przekładzie M. Paszkowskiego.

Jeszcze słówko z dziedziny sztuk pięknych. P. Hip. Lipiński kończy już obraz przedstawiający N. Pana w Sukiennicach, podczas wesela krakowskiego. Obraz ten, mówią znawcy, tchnie takiem życiem i prawdą, że ci, co byli na weselu, żywo odnawiają w pamięci te piękne chwile tam spędzone. Wiele postaci odportretowanych. Koloryt prześliczny, te różnobarwne stroje ludu, wstęgi, kwiaty, te kontusze, te mundury jeneralskie oświecone światłem gazowem, wszystko to układa się, mówią, w harmonijną mozaikę.

F. G.

MOC DUSZY.

OPOWIADANIE.

przez

P. W. Ż.

(Dokończenie).

Rozjuszony gniewem jeden ze zbójców porwał za nóż, chcąc go utopić w piersi żołnierza; wstrzymał go jednak dowódzca bandy, mówiąc:

— Na nóż jeszcze czas! niechaj jeszcze tego sprobuję.

I podnosząc do góry karabin, uderzył tak silnie kolbą w palce u nóg nieszczęśliwego, że aż kości zatrzeszczały.

Żołnierz krzyknął boleśnie i twarz jego wykrzywiła się strasznem cierpieniem. Nie długo atoli trwała ta chwila, gdyż jakby się wstydząc swojej słabości w obec swoich oprawców, czerpiąc siłę w niesłychanym bólu, podniósł głowę do góry, uderzył z całą mocą zgruchotaną nogą o ziemię i zawołał:

— Nie! nic!

Wtedy bandyci rzucili się na niego, jak krwi chciwe hyeny, chwytając go za szyję; w tym strasznym uścisku zdawało się że oczy nieszczęśliwego wytrysną ze swoich orbitów, że go uduszą, że mu oderwą głowę od tułowia.

Tutaj młody bandyta, którego okropność widowiska uczyniła śmiałym, zawołał rozdzierającym głosem:

— Nie! nie!

— Zabijcie go, zamordujcie odrazu, zastrzelcie jak psa! Cóż wam przyjdzie z jego długich męczarni?

Bandyci uderzeni więcej jego śmiałością aniżeli słowami, zwrócili się ku niemu patrząc z podziwieniem.

Zuchwalstwo to nie uszło bezkarnie młodemu adeptowi zbójeckiego rzemiosła, gdyż dowódzca bandy wymierzył mu tak potężny policzek, że chłopiec upadł na ziemię, zalewając się krwią. Nie odrzekł przecież ani słowa, podniósł się z trudnością i powrócił na swoje stanowisko; lecz w chwili gdy spojrzał na dół ku zakrętowi góry, jakieś zdziwienie zdawało się malować na jego twarzy. Wychylił się jeszcze bardziej naprzód i został tak nieruchomy z wytężoną przed siebie źrenicą.

Dowódzca bandy powrócił do swojej ofiary, drżał, był siny, zgrzytał zębami; położył jednę ze swoich olbrzymich rąk na głowę karabiniera, drugą podniósł do góry i patrząc na niego krwią zabiegłą źrenicą, zaczął mówić chrypliwym urywanym głosem:

— Słuchaj... w złej godzinie uwziąłeś się igrać zemną.... ty nie wiesz kto ja jestem. Nie takim jak ty stawały włosy na głowie, na widok tego, co ja potrafię jak chcę. Nie domyślasz się, nie rozumiesz, na jakie męki mogę cię skazać.... Będę cię kłuć aż do jutra moim sztyletem, nie odbierając ci życia, uczynię cię niepodobnym do człowieka, wydrę ci oczy z głowy.... Nie wiesz jaki los spotkał już wielu przed tobą... nie nadużywaj mojej cierpliwości! Powiedz mi coś powinien powiedzieć, zanim krew uderzy mi do głowy.

I to powiedziawszy zdjął rękę z głowy żołnierza: ręka ta była pełną włosów. Rzucił mu je w twarz, a włosy przylepiły się do ust płynących krwią nieszczęśliwego.

Karabinier chcąc się ich pozbyć, splunął.

Bandyci wzięli ten gest za pogardę i wściekłości ich nic już pohamować nie było w stanie. Wyjąc jak wilki, znów się rzucili na niego z pochylonemi głowami, szarpali go własnemi paznokciami, kłuli ostrzami puginałów, kąsali zębami, kopali nogami, mordowali go szybko, w cichości zmieniając jeden drugiego, odpoczywając i znowu powracając do tej walki bez odwetu.

Na ziemię płynęły strugi krwi, padały strzępy koszuli, garście włosów i tylko słychać było ciężki oddech trzech katów, dźwięk uderzających o siebie sztyletów i przytłumiony jęk ofiary.

Oprawcy byli ślepi, pijani, wściekłością i szaleństwem rozbestwieni i prawie nieprzytomni; nie byli to już ludzie, ale jakiś potwór o trzech cielskach, wpity, okręcony o ciało skrwawionej ludzkiej istoty.

— Nie zabijajcie go jeszcze—zawołał znów młody bandyta, z niespokojnością zwracając się ku towarzyszom i spoglądając ku wejściu do jaskini i mówił coraz głośniej, jakby starając się pokryć zgiełk zbliżających się kroków.—Nie zabijajcie go jeszcze! Poczekajcie! on powie wszystko! Zabijając go, nic się od niego nie dowiecie! Widzicie, on chce mówić! Jeszcze macie dosyć czasu zabić go! Ja sam w samo serce go ugodzę, jeżeli zechcecie. Odrzućcie precz sztylety! Pięściami go bijcie! Czy nie widzicie że on już umiera?

Nie przestając tak wołać, spoglądał ciągle ku wejściu do jaskini; wreszcie skacząc do środka i zmieniając ton mowy z akcentem niewysłowionej pogardy zawołał:

— Ach! nikczemnicy! czterech przeciwko jednemu konającemu!

— Przekleństwo!—ryknął naczelnik bandy rzucając się na niego z podniesionym do góry sztyletem.

— Zapóźno! patrz — odpowiedział spokojnie z radosnem drżeniem młodzieniec.

W chwili, kiedy dwóch bandytów ostrzeżonych słowami młodego towarzysza, zarzucili spiesznie szeroki płaszcz na ofiarę swojej wściekłości i kiedy dowódzca chwytając strzelbę chciał wybiedz na spotkanie zbliżającego się tajemniczego nieprzyjaciela, dał się słyszeć szczęk broni, hałas przyspieszonych kroków i pomięszanych głosów; przed drzwiami u wejścia do jaskini błysnęły lufy i ostrza bagnetów i do środka wpadł oddział karabinierów, który w jednej chwili otoczył, zgniótł, rozbroił i powalił na ziemię wszystkich, których zastał w środku kryjówki.

Nastąpiła chwila krótkiego milczenia, w której słychać było tylko szczęk broni i ciężki przytłumiony oddech strudzonych spiesznym, długim marszem karabinierów.

— Ulżyjcie cierpieniom umierającego—zawołał nagle młody bandyta.

— Co? gdzie? kto umiera? — zapytał oficer zbliżając się do niego.

— Tam!—odrzekł młodzieniec, wskazując na płaszcz rozciągnięty w rogu jaskini.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę, nic jednak nie spostrzegając.

— Pod płaszczem!—powtórzył bandyta.

Oficer zbliżył się do komina, pociągnął za płaszcz i odrzucił go na stronę. Okrzyk przerażenia i zgrozy wydobył się z piersi żołnierzy na widok, jaki uderzył ich oczy.

Nieszczęśliwy jeniec leżał na ziemi, z rękami w tył wykręconemi, z głową utopioną w barłogu; był siny i cały w ranach, krew spływała mu po całem ciele; zdawało się, że był żywcem odarty ze skóry: silił się chcąc podnieść głowę.

— Rozwiążcie go natychmiast!—zawołał oficer—dajcie mu wody!

Karabinierzy przecięli więzy krępujące jego członki, podnieśli go z ziemi, zaczęli mu opatrywać rany; inni, wściekli z gniewu, bili bandytów kolbami.

— Przestańcie!—zawołał oficer, poczem przystępując do młodego bandyty, rzekł:—Mów co wiesz!

Karabinier pozwolił mu się podnieść.

— Kiedy pojmaliście tego człowieka? powiedz prawdę zanim umrzesz! — powtórzył surowo oficer.

— Ten człowiek—zaczął mówić młody zbójca drżącym z przestrachu i przerażenia głosem—tego karabiniera schwytali dziś rano... przyprowadzili go tutaj... związali go... chcieli żeby mówił... ale on nic nie chciał powiedzieć.... rzucili się na niego..., Ja to wszystko widziałam... mój Boże, mój Boże!

— Ale ty kto jesteś?—zawołał oficer zrywając mu z głowy kapelusz.

— Kobieta!—zawołali żołnierze, widząc długie włosy spadające na ramiona sumiennego bandyty.

— Tak! kobietą jestem—zawołała jakby nieprzytomna.—Porwali mnie... jest temu dni 15.... z nożem u gardła tu mnie przyprowadzili.... Ale ręce moje krwią się nigdy nie zmazały! nie! przysięgam! Musiałam im towarzyszyć... bo się bałam... by mnie nie zabili.... Jestem biedna wieśniaczka z San Severo!

— Dlaczego nie zastrzeliłaś którego z tych nędzników?

— Nie miałam odwagi.... Zamordowaliby mnie. Trzeba widzieć co oni dokazują.... dziś zdawało mi się że oszaleję... oh! gdybyście widzieli... ale on—i to mówiąc wskazała na rannego—on był jak Bóg... wszystko zniósł... wszystko wycierpiał... nie wyrzekłszy ani słowa.

— Zaciągnijcie tych nędzników do stóp ich ofiary—rzekł oficer.

Karabinierzy popchnęli czterech bandytów ku rannemu, którego głowę przewiązano chustką okrywającą całą jego twarz.

— Jesteś ocalony—woła oficer, schylając się do żołnierza, zaczynającego dawać znaki życia—jesteś pomiędzy twoimi towarzyszami broni! odwagi i cierpliwości! Patrz! twoi oprawcy czołgają się przed tobą na kolanach!

Karabinier wykrzywił usta i zaczął dyszeć jak ten, co się chce śmiać, a nie ma siły; później wyciągnął rękę, którą przypadkiem położył na głowie dowódzcy bandytów. Cofnął ją; pochylił naprzód głowę i splunął w stronę bandyty, siląc się na uśmiech?

— Co to jest?—zawołał oficer, podnosząc z ziemi kawałek jakiś blado-różowej massy, którą widział wypadającą z ust karabiniera.

— To... odpowiedź na list pułkownika—odrzekł ledwie dosłyszanym głosem.

— Do pułkownika w San-Severo? moja odpowiedź? ta, którą ci dałem dzisiaj rano?

Karabinier skinął głową.

Komendant rzucił się ku niemu, objął go za szyję i pocałował w skrwawione czoło, później prostując się i obcierając łzę kręcącą mu się w oku, rzekł do swoich żołnierzy:

— Bracia! uchylcie czoło przed tym walecznym; niósł on mój list do pułkownika, oznajmiający nasz wymarsz, oznajmiający czas i miejsce naszej wyprawy; gdyby ten list dostał się był w ręce bandytów, byliby ocaleni: włożył on go w usta, nic nie mówił ażeby się nie zdradzić, wolał znieść katusze i męki. Cześć temu bohaterowi, cześć tej wielkiej duszy!... Na kolana, nikczemnicy!—krzyknął komendant do bandytów.

Ci jeden po drugim, czołgali się do rannego jak węże, całując mu nogi.

— Kapitanie!—zawołała nagle kobieta, wlepiając weń swoje czarne oczy, błyszczące jakimś niezwykłym ogniem—mogłam była zawiadomić ich, gdyście się zbliżali.... nie uczyniłam tego... dałam wam czas nadejść.... W nagrodę proszę was o jedną łaskę. Jestem biedna, nieszczęśliwa, zgubiona kobieta.... do domu moich rodziców powrócić już nie mogę.... Nie chcę żyć więcej.... każ mnie rozstrzelać razem z tymi.

— Nie!—zawołał z całej siły, na jaką go stać było, raniony.

Wszyscy zwrócili się ku niemu.

— Ty—mówił słabym głosem karabinier, wyciągając skrwawioną rękę do kobiety—powinnaś zrobić jeden miłosierny uczynek.

— Jaki? powiedz! mój Boże! Proszę cię przez litość! mów—zawołała kobieta padając przed nim na kolana, z wyciągniętemi ku niemu rękami.

— Towarzyszyć mi... prowadzić mnie... szeptał nieszczęśliwy.

— Dokąd? gdzie?

— Wszędzie!

Obecni spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Co to ma znaczyć? Co chcesz przez to powiedzieć—powtórzyła kobieta.

— Nie wiecie wszystkiego... nie widzieliście jeszcze wszystkich moich ran—odpowiedział żołnierz.—Patrzcie!

I to mówiąc ściągnął chustkę, zasłaniającą mu dotąd oczy.

Wszyscy obecni zbliżyli się ku niemu z niespokojnością i obawą; spojrzeli i okrzyk litości i zgrozy wydobył się z ich piersi.

Karabinier smutnie dodał:

— Nic nie widzę! Jestem kaleką na wieki!

— Śmierć im! śmierć!—zawołali żołnierze jak jeden człowiek, uderzając bandytów kolbami swoich karabinów.

Głos komendanta nie zdołał uśmierzyć tumultu i wrzawy żołnierzy, domagających się głośnemi okrzykami natychmiastowej zemsty.

Karabinierzy rzucili się ku drzwiom, pociągając za sobą trzęsących się ze strachu zbrodniarzy.

— Czy zrobisz ten miłosierny i litościwy uczynek?—zapytał żołnierz kobiety, kiedy pozostali sami.

Ta tylko oczy wzniosła ku niebu i zcicha odpowiedziała:

— Moje życie odtąd należy do ciebie!

Ścisnęli się za ręce i w tejże chwili grzmiąca salwa karabinowych strzałów, odbijając się od okolicznych wzgórzy, skał i urwisk, zdawała się uświęcać szlachetne przymierze dziś już od lat dziesięciu łączące litościwą kobietę z bohaterem tego smutnego opowiadania.

Oto jest historya mężczyzny i kobiety z tarasu czwartego piętra.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Remińskiej. Prosimy o adres dokładny, gdyż w liście jest tylko wymieniony Babin, bez stacyi pocztowej. Nazwisko pani nie jest u nas zapisane, zapewne prenumeruje pani „Nowe Mody Paryzkie" za pośrednictwem której księgarni, a ta od siebie numera wysyła, bez uprzedniego zawiadomienia nas. Prosimy o nadsyłanie zawsze prenumeraty wprost do redakcyi, gdyż to daje nam możność rychłego załatwiania wszelkich reklam. Wyślemy początek powie-

ści po przysłaniu dokładnego adresu i prosimy zawiadomić, odkąd pieniądze które są u nas, mamy liczyć na prenumeratę i pismo wprost z redakcyi wysyłać.

Pani Maryi Romaszkie. Ponieważ sz. pani nadesłała na prenumeratę tylko rs. 1 kop. 55, sądziliśmy iż życzy tylko odbierać same Mody, których dwa numera wychodzą na miesiąc, a prenumerata na kwartał wynosi rs. 1 kop. 60; gdy zaś z częścią literacką i powiększonym działem Mód, kosztuje na prowincyi rs. 3 kw. Edycya ta wychodzi co tydzień i ma numera porządkowe. Część zaś modna, jako wyjęta z całości, a tylko dla dogodności prenumeratorek wysyłaną jest oddzielnie, nie ma numerów porządkowych, lecz jedynie pilnować się należy daty miesięcznej. I tak: na część modną za styczeń wypadają n-ra: 39 z 1-go stycznia i 3 z 19-go stycznia. Na luty wypadną numera 5, z 2-go lutego i 7, z 16 lutego. Część ta modna, choć nie ma porządkowych numerów, sama w sobie stanowi całość. Posłaliśmy całość, to jest numerów 3 ze stycznia literackich i odtąd wszystko posyłać będziemy, prosimy tylko o dopłatę na ten kwartał.

Pani Nowickiej w Sandomierzu. Numera Działu Modnego, który sz. pani zaprenumerowała, nie są oznaczone porządkową liczbą, gdyż ich wychodzi 2 miesięcznie; uważać tylko należy na daty: i tak w styczniu numer 39 z 1-go, a 3 z 19-go stycznia, stanowiły dwa numera styczniowe. Co tydzień odbierają pismo ci z prenumeratorów, którzy opłacili na kwartał rs. 3 i mają porządkowe liczby na numerach.

Część Modna, którą po niższej cenie dla dogodności prenumeratorów oddajemy, jest oderwaną od całości pisma, choć zupełnie odrębną, i nie zawiera ani powieści, ani artykułów rozmaitej treści, które się mieszczą w numerach literackich. Wysłaliśmy pani całość, to jest numera, których brakuje do tygodniowej edycyi, a prosimy o dopłatę na ten kwartał.

Pani Wandzie D. w Janowie. Zawsze ta sama kwestya; ustrój naszego pisma jest następujący: Jednego tygodnia wychodzi numer literacki, drugiego sam modny. Jeśli zaś pięć numerów wychodzi, to trzy są literackie, a zawsze tylko dwa modne. Zaprowadziliśmy to dla dogodności prenumeratorów, aby część modną osobno wypisywać mogli. W styczniu: numer 39 był modny, 1 literacki, 2 literacki, 3 modny, 4 literacki, 5 modny i dalej. Nadmieniamy przytem, że literackie numera zawierają ryciny kolorowane, fasony lub wielkie tablice kroju i dodatek powieściowy co tydzień dołączony. Z czasem gdy większa liczba prenumeratorek będzie, postaramy się o powiększenie treści literackiej. Od początku istnienia pisma, stałe czytelniczki widzą nasze usiłowania bezustanne, co do rozwoju pisma i dalej nie ustaniemy w tej dążności, dzięki poparciu i ciągle powiększającej się liczby czytelniczek. Oto nasze tłomaczenie na list pani.

TREŚĆ NUMERU: Modlitwa (wiersz) przez Michała Bałuckiego. — Gdzie praca dla kobiet naszych? przez Jana Jeleńskiego. — W Krainie Złota. Nowella. Przez Litwosa (ciąg dalszy).—Z tygodnia.—Rodzice i Dzieci, przez Adolfa Dygasińskiego.—Z Malarstwa, przez Bronisława Zawadzkiego.—Kronika Krakowska.—Moc Duszy. Opowiadanie. Przez P. W. Ż. (dokończenie).— Odpowiedzi od Redakcyi.—Ogłoszenia. **W Dodatku:** Lord Brackenbury. Powieść przez Amelią B. Edwards. (Ciąg dalszy).

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, Lord Brackenbury, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава 28 Января 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**